



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:  
We wszystkich księgarniach i kantorach piem peryodycznych  
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.  
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1  
sgr. 20.

### LEON XIII.

Dnia 20-go Lutego, więc w trzy-  
naście dni po zgonie Piusa IX,  
o godzinie pierwszej z południa,  
pierwszy kardynał dyakon kuryi  
rzymskiej ogłosił ludowi z wiel-  
kiego ganku Watykańskiego ko-  
ścioła, że świat katolicki ma zno-  
wu najwyższego kapłana.—Oznaj-  
miam wam wieść wielką — rzekł  
słowami tradycyjnej formu-  
ły—mamy papieża...

Tym następcą Piusa IX na sto-  
licę Piotrową jest dotychczasowy  
arcybiskup Perugii, kardynał-  
camerlengo, Joachim Pecci, uro-  
dzony 1810 r. we wsi Carpinetto  
pod Anagni (dawne państwo pa-  
piezkie) z bardzo starożytnej ro-  
dziny szlacheckiej, w której tra-  
dycya zamięłowań nauki i poezyi,  
szlachetnie hodowała członków  
swoich. W XV wieku zasłynęła  
z tego rodu poetka, Onorata Pecci,  
w XIV wieku Ferdynand Pecci,  
był założycielem zakonu pustel-  
ników św. Hieronima, co też oka-  
zuje ascetyzm z poetyczną wyo-  
braźnią połączony. Leon XIII ma  
posiadać w charakterze swoim  
wszystkie te cechy rodowe, jest  
człowiekiem wyższej nauki; jest  
poetą i jako arcybiskup Perugii  
zwracał wielką uwagę na sprawy  
wychowania ludowego, na nau-  
kowe wykształcenie księży, dla  
których w diecezji swojej zało-  
żył akademię duchowną, św. To-



Leon XIII, Papież.

masza, i nie był jej nominalnym  
jedynie naczelnikiem. W ogó-  
le jest to natura czynna i wy-  
soce energiczna. Gdy po skończe-  
niu studiów teologicznych w aka-  
demii rzymskiej wysłany został  
przez Grzegorza XVI jako dele-  
gat do Benewentu, gniazda dzi-  
kości i rozbojów, gdzie trzeba  
było walczyć, dla wytepienia ży-  
wołu rozbójniczego, nie z nim  
samym jedynie, lecz ostrą, silną  
ręką sięgać i do rozrzuconych  
wśród gór średniowiecznych  
zameczków szlacheckich—śmiała,  
mężka odwaga młodego abbato,  
wystąpiła z nieuleknioną dziel-  
nością, i celu swego dopięła  
wkrótce, ukorzywszy barbaryzm  
i zuchwałstwo. Dzieło to powtó-  
rzył ks. Joachim Pecci w Spoleto  
i Perugii; oczyścił kraj z rozbój-  
ników, złamał opór tych, którzy  
w dzikich rojeniach feudalnej  
władzy poplecznikami ich byli.  
Istnieją legendy, jak śmiały młó-  
dy kapłan zjawiał się nieraz, od-  
ważnie i niespodziewanie, pod  
murami podobnych do Roche-  
Mauprat jaskiń gwałtów i nadu-  
żyć; jak wchodził w ich głąb' po-  
nurą i rozbrajał je, zostawiając  
po za sobą wdzięczność uciśnio-  
nego ludu. Grzegorz XVI mia-  
nował go w nagrodę tych zasług  
arcybiskupem Damietty, i w ro-  
ku 1843 wysłał jako nuncjusza  
do Belgii, gdzie odznaczył się  
innymi stronami osobistości swo-  
jej: wyższością umysłu, wykształ-  
ceniem i taktem w postępowaniu,  
które zjednały mu przychylność



tak rozumnego człowieka i liberalnego władcy, jakim był Leopold I. Dla względów zdrowia, na które klimat Belgii źle oddziaływał, arcybiskup Damietty opuścił Brukselę po trzech latach pobytu, lecz do Rzymu jeszcze towarzyszyła mu życzliwość Leopolda I, który jako władca katolickiego państwa, wniósł do stolicy apostolskiej przedstawienie, prosząc dla byłego nuncjusza o kapelusze kardynalski, co wraz z arcybiskupstwem Perugii przyznane mu zostało przez Grzegorza XVI w roku 1846, lecz jedynie *in petto*, śmierć bowiem papieża przeszkodziła formalnej nominacji. Kardynałem rzeczywistym został dopiero w 1853 r., wyniesiony na tę godność przez Piusa IX, który okazywał mu zawsze wielkie uznanie. Utrzymują się wśród społeczeństwa rzymskiego pogłoski, że kardynał Antonelli obawiając się niebezpiecznego z nim współzawodnictwa, obawiając się wpływów energicznego charakteru a umiarkowanego usposobienia kardynała Pecci na Piusa IX, usiłował trzymać go w oddaleniu od Watykanu.

Surowe pojęcie obowiązku sprawiało, że kardynał Pecci mieszkał stale w stolicy diecezyi swojej, przybywając do Rzymu tylko dla powinności kardynalskiego urzędu. Diecezyą zarządzał sam, z wysoką dbałością o wszystkie jej duchowne sprawy, z wysokim taktem i godnością, która sprawiała, że w obec nowych władz królestwa Włoskiego umiał zawsze utrzymać się na stanowisku odpowiednim swej dostojności w kościele. Nieposzlakowany charakter, wielka siła i niezmiennosc woli, podniosłe i surowe pojęcie kapłańskiego urzędu i złączona z nim wielka prostota obyczajów — otoczyły go szacunkiem wszystkich warstw społecznych i utorowały mu drogę do godności, którą obecnie otrzymał. W roku zeszyły, może czując śmierć, która się zbliżała, Pius IX mianował go swoim kamerlengiem, co w czasie przejściowem od śmierci papieża aż do wyboru jego następcy oddawało mu w ręce władzę niepodzielnego zarządu sprawami kościelnymi i dworu papieżkiego.

Pius dziewiąty zostawił pakiet zapieczętowany pierścieniem rybaka a przeznaczony dla następcy swojego, w którym miał mu zostawić pewne instrukcje, powierzyć wypełnienie rzeczy, na których wykonanie brakowało sił skołataniem starcowi. Wiść niesie, że pierwsze reformatorskie kroki, jakimi Leon XIII inagurował panowanie swoje, mieszczą część tej ostatniej woli Piusa IX. Zgodnie ze znaną stanowczością charakteru swego, w pierwszym zaraz dniu rządów oświadczył, że nie będzie sankcjonował „zwyczajów, które przeszły w nadużycia“ — *usi chi sono abusi* — i tak rzeczy od razu postawił, że wielka liczba osób, która obsiadła synekury dworskie w Watykanie i zamieszkiwała w jego murach, wyniosła się ztamtąd, nie czekając, aż jej to nakazaniem zostanie. Musi to nieodwołalnie rozdzić niechęci, skryte nienawiści nawet, ale Leon XIII nigdy na to nie zważał, idąc do celu swego. Jest stosunkowo młodym, bo ma dopiero rok 67 i sił nie brakuje mu jeszcze, drogę zaś, którą dążyć zamysła, ma widać już wytkniętą i widzi jasno, którą wiedę go będzie. Gwardya papieżka wydała mu się zbyt liczną. — Tyle wojska, a ja wojny prowadzić nie myślę — ozwał się, patrząc na szeregi Guardia Nobile. Kazał też zawiadomić jej dowódcę, generała Kanzlera, że usług jego nie potrzebuje obecnie, i dopiero w razie potrzeby wezwie go do siebie — co sprawiło w ludzie rzymskim niemal tak wielkie uznanie, jak niegdyś rozpuszczenie przez Piusa IX gwardyi szwajcarskiej. Dzisiejsza Guardia Nobile jest też w znacznej części cudzoziemską.

Równie skromny w układzie życia, jak Pius IX, w nawyknięciach swych dochodzi do surowości niemal. Na obiad jada zwykle dwie potrawy tylko, między którymi mięso bywa jedno tylko; służba jest mu osobiście zaledwie potrzebną.

Powierzchność Leona XIII pociąga i imponuje zarazem, jest wysoki, siwy jak gołąb, z czaszką do połowy odkrytą, rysy ma silnie wydatne, poważne, twarz suchą i zdolną w wyrazie odbijać zapał, silne, gorące uczucia, oczy śmiałe i przenikliwe w spojrzeniu, a głos bardzo silny i doniosły, rozlegający się dźwięcznie nawet wśród takiego gmachu ogromnej przestrzeni jak bazylika Ś-go Piotra. To też przy ołtarzu, przy sprawowaniu uroczystych

ceremonij kościelnych przedstawia się wzniosłe i budzi uszanowanie. „Piękna ta głowa stworzona jest do tyary“ — napisały o nim nawet nieprzychylnie papieżtwa dzienniki włoskie i uznano ogólnie, że postać cała tchnęła wspaniałą potęgą, gdy jako papież dawał swe pierwsze błogosławieństwo, co przecież poraz pierwszy odbyło się nie z zewnętrznego ganku bazyliki Piotrowej, ale wewnątrz, z górnego balkonu na świątynię wychodzącego. Głos papieża nie popłynął w świat ponad głowami ludu kłęczącego na ogromnym placu Ś-go Piotra, ale rozległ się pod sklepieniem olbrzymiej kopuły kościelnej i wyniosły go dopiero ztamtąd tłumy wiernych. Szczegółem godnym zanotowania jest to, że conelawe trwało tylko półtorej doby, zatem wybór odbył się w warunkach szczególnej zgodności, co w dziejach papieżtwa jest rzadkością i w ciągu półczwarta wieku zdarza się dopiero poraz drugi. W 1623 r. papież został też obrany w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Wybór zmarłego Piusa IX trwał dni 3. Papież obecny, przybierając sobie do kierowania nawa Piotrową nazwę Leona, wywołał z pomroki dziejów dwie znakomite w szeregu papieżów postaci: Leona I i Leona X. Leon I, w kościele zwany Wielkim, dokonał w piątym wieku po Chrystusie zjednoczenia władzy kościelnej, skupiając ją w ręku biskupów rzymskich i dwukrotnie ocalił miasto wieczne od zagłady: raz zasłoniwszy go powagą urzędu i świętości własnej od Attyli, drugi raz od pożogi i mordów Genzeryka. Leon X panował wśród trudnych dla kościoła czasów reformacji Lutera. Może Leon XIII zapragnął połączyć w całość jedną cnotę, zaczerpniętą z przykładu dwóch obranych wzorów swoich: niewzruszoną wierność dla katolickiej zasady kościoła i ofiarńczy patriotyzm włoski, który nawet przed ogniem i mordem z Rzymu nie uchodził, ale dla ocalenia go siebie samego na dobrowolną ofiarę oddawał.

Ogół nietylko włoskiej publiczności, ale całego cywilizowanego społeczeństwa przyjął z zadowoleniem wybór Leona XIII, jako osobistości szlachetnej i czystej, jako wyższego i niezacieśnionego umysłu, charakteru silnego. Dziwny zbieg okoliczności zaznacza się przy tym wyborze: nowy papież jako Giacomo Pecci ma w herbie swoim komętę, proroctwo zaś jakoby Malachiaszowe nadaje mu przydomek: *Lumen in coelo*.

M. Ilnicka.

## POGA WĘDKA.

„Pamiętaj żeś jest prochem i w proch się obrócisz!“  
Słowa te, jak owe głoski Baltazarowe wypisane nad wszelką wielkością ziemską, przypominają jej tej nieuniknioną ostateczność, w którą, krom ducha, wszystko co tu początek wzięło — wpaść musi. A przecież jak mało ta przestroga jest uwzględniana, jeżeli nie całkiem fałszywie pojmowaną i wprowadzoną w życie! Gdy jedni w zapamiętałym szale pną się byle wyżej, — ufną w tę wielką siłę, uwięzioną tylko w materji; gdy wszyscy budują na niej i życie całe prochowi poświęcają, nie pomyślą, że on prędzej czy później rozwiać się musi: drudzy epikureizm, używanie, życie z dnia na dzień, lub jakąś rozpaczliwą apatję tłómaczą owemi słowami, którymi rozpoczęli wielki post ducha, oddając ciało wszelkie prawa szalonego karnawału.

Jeżeli kto, to my przed innymi powinniśmy głębokobro zrozumieć znaczenie tej przestrogi, co równie w życiu jednostki, jak w życiu narodów znajduje w ciągu wieków, jak i przez jedną dobę — wielkie nieustające fakta, na dowód swej słuszności. Historia powszechna ma niejedną kartę, na której u góry mogłyby stać jako motto owe biblijne słowa o znikomości.

Kościół katolicki nader trafnie wybrał chwilę przypomnienia swym wiernym, iż są prochem ziemskim. Popielec, jak błąd anachoreta w mniszej kucie, zjawiający się o północy na sali balowej wśród szalonego wiru uciech i zabawy — woła gło-

sem stanowczym: „dość!“ — i milkną urwane dźwięki wesolej muzyki, gasną światła w sturamiennych kinkietach, ulata czar, co zawracał serca i głowy; wraca przytomność — i z uroczego snu chwilowych mamideł budzimy się do rzeczywistości życia, bo, niestety! ma ono więcej wielkopostnych rysów, niż podobieństwa z karnawalem.

Pomiędzy skoczne dźwięki orkiestry balowej wmięszal się niespodzianie daleki odgłos pogrzebowego dzwonu, przygłuszając na chwilę jak ponure „*memento mori*“ — ogólną uciechę. Na rozjaśnionem tle zabaw, zarysował się nagle cień papieżkiej tyary, okwefionej żałobnie.

Zato też pod koniec karnawału ożywiły się ostatki. Warszawka stała się przedmiotem zazdrości dla spokojnej prowincyi, która — o ile z korespondencyj poznać się dało — niewiele korzystała z czasu ochoty i tanów.

Ludzie porządni, spokojni, przykładni obywatele spędzili owe dziewięć tygodni nader przyzwyczajenie. Pustota i szal nie pozostawiły po sobie żadnych zbyt jaskrawych śladów w kronikach naszych partykularzy; natomiast jakby wykurzona z Warszawy szarańcza, lotrzykowie pospolitego gatunku opadli biedną prowincyę i rozpoczęli swoje rzemiosło, ze śmiałością niekiedy zadziwiającą.

Brygantyzm ów uformował się nawet w całe bandy, a sława Rinaldiniego, jak widać i dzisiaj jeszcze w czasach prozaicznych, wodzi na pokuszenie. W Piotrkowskim jakiś Orłowski, istny wyrzutek społeczeństwa, zbieg z rot arestanczych, gospodaruje sobie po drogach i wioskach, jakby wśród lasu, i szerzy paniczny postrach pomiędzy ludnością. W okolicy Łodzi uorganizowała się druga szajka, na której czele stanął podobno syn pewnej zacnej rodziny.

Liczne zbrodnie, powtarzające się z każdym dniem, nie są już samym wynikiem smutnego stanu ekonomicznego naszej ludności; to już nie głód i nędza popychają do *nadużyć* karygodnych: szukać w tem należy głębszych przyczyn. To już drugie stadium choroby społecznej, tem niebezpieczniejsze, że jest objawem zakażenia się ducha i sumienia pewnej części ogółu naszego. Na taką plagę środki nie łatwe, pomoc materyjalna nie zaradzi już sama; potrzeba wpływów silniejszych niż nawoływania ludzi, potrzeba głosu Boga! — A on czasami odzywa się zniszczeniem i burzą, — gromami wypisuje swój wyrok na pochmurnem niebie i zaraz wybiera na posła.

Zepsucie coraz głębiej nurtować zaczyna i jak termity podgryza pień społeczny. Waleczyć z nieprzyjacielem widowym i wielkim, to jeszcze pół biedy; ale mieć przeciw sobie tysiące drobnych, nikłych, ledwie dojrzałych czynników, co jak owe miazmata w bagnach się wylęgające — opadają zdrowe części organizmu i rozkład jego sprawdzają: to walka niepewna i niebezpieczna, a na taką każde niemal społeczeństwo jest narażone. Przeważność publiczna każe zaprowadzać dezynfekcyę przy pojawianiu się najłżejszych symptomów epidemii: na epidemję moralną, kiedy raz już wybuchnie, zapóźno oddziaływać środkami leczniczymi — należy ją uprzedzać, nie dopuszczać jej. Zgangrenowane członki należą do chirurgji; medycyna wstrzymuje tylko rozkład: w organizmie społecznym czuwać trzeba, aby do amputacyi nie przychodziło.

W naturze małe żyjątka, wycoczki, grzybki, pod mikroskopem zaledwo dostrzegalne, sprawiają ogromne opustoszenia. W życiu społecznym podobnie się dzieje: zaczyna się od drobnych uchybień, od małych przestępstw, od nic nie znaczących nadużyć pod protekcyą pobłażliwości, — a kończy... wielkimi zbrodniami.

\* \* \*

W dziennikarstwie naszym od pewnego czasu zakorzenił się mały chwaścik, uprawiany wprawdzie za granicą z wielkiem pożytkiem wydawców, i wygodą stron interesowanych. Chwaścik ten rozplenia się skromniutko, na grzędce nazwanej: *Korespondencyą prywatną*, i dopóki nie przerodził się w brzydką pleśń, po której się zgnilizna poznaje, dopóty nań wcale nie zwracaliśmy uwagi.



Wszelako odkiedy ta rubryka w niektórych naszych pismach brukowych zaczęła służyć anonimom do nadto wolnych i swobodnych wynurzeń, sądzimy, że godzi się zwrócić uwagę na niestosowność tego „urządzenia,” dla prywatnego użytku w miejscu poświęconem li tylko sprawom ogół obchodzącym.

Już to wogóle prywatne interesa należeć powinny do pojedynczych osób, nie do ogółu; inaczej dziennik stanie się świstkiem plotkarzy i zatraci tę resztkę zaufania, jakie społeczeństwo nasze zachowało dla prasy. Nie wolno bezkarnie nadużywać tego kredytu; stan dziennikarski musi być wysoko honorowym, jeżeli nie chce kompromitować społeczeństwa, z którego się wyłonił.

Z przyjemnością na pociechę ogółu zanotować nam tutaj wypada, pomyślny rozwój prasy prowincjonalnej; kiedy bowiem przed czterema laty węgietowało zaledwie jedno piśmko o zakresie brukowym, dzisiaj tylko cztery miasta gubernialne nie posiadają własnych organów, a między istniejącymi jedyny *Tydzień piotrkowski* nie prosperuje, jakby należało; inne żyją w całej pełni i dają dzielne tego życia objawy.

Przyznać bowiem trzeba, iż nasze dzienniki prowincjonalne zrozumiały dobrze swoje stanowisko i starają się zamienić na prawdziwe organa okolicy, wśród której powstały. Mamy też, dzięki im, coraz dokładniejszy obraz stosunków prowincjonalnych, ruchu umysłowego i ekonomicznego, a z czasem, przyzależnym poparciem, każde z nich stanie się w całym tego słowa znaczeniu „wyrazem prowincyi, obrońcą jego potrzeb, stróżem jej interesów.”

Tę sprawiedliwość należało się już oddawna oddać młodym kolegom prasy peryodycznej warszawskiej, która, prawdę mówiąc, sama zawdzięcza im bardzo wiele uroczajności i przysług, zasilaając się tanim kosztem wiadomościami z prowincyi, co dawniej polegało na łasce panów korespondentów stałych, — którzy w arendę biorąc opinię powiatu, uważali siebie za alfę i omegę w tym względzie.

\* \* \*

Zdawałoby się, że niema już wyjątkowych filantropów, — (bo wobec energicznych usiłowań p. Dobieckiego i protektorów innych instytucji dobroczynnych, Warszawa, chcąc nie chcąc doszła do pewnej normy filantropijnej, do której trudno się nie zastosować) — a przecież przed dwoma tygodniami *Kuryer Warszawski* zarumienił wszystkich naszych tytułarnych dobrodziejów wiadomością o wspaniałym, jak na nasze warunki, darze Dra Perlmuttera, który z Bukaresztu, gdzie czasowo dla interesów przebywał, nadesłał 10,000 rs. na zapomogę dla biednych studentów, a 1,000 rs. na opłacenie w połowie wpisów szkolnych, a w połowie na zakupienie maszyn do szycia dla ubogich pracownic igły.

I tak, ofiarnością jednego dobrego człowieka, zaradono dwóm ważnym potrzebom, które bez hojnego daru Dra Perlmuttera, byłyby na długo jeszcze „pozostały kwestyami nierozwiązanymi.”

To, nad czem łamali sobie głowy nasi dobroczynni ekonomiści *in partibus in fidelium*, na co nikt z pośród naszych nababów zdobyć się nie mógł, — to w jednej chwili, dzięki szlachetnemu ofiarodawcy, przeszło w rzeczywistość z krainy projektów, których kraj nasz jest niewyczerpaną kopalnią.

Zachodzi teraz pytanie: co zrobić z kapitałem tak znacznym, który rozmienny na drobną monetę, spłynie deszczem dobroczynnych dochodów bez śladu? Czy nie lepiej było zachować go jako fundusz żelazny na lepsze czasy, a teraz tylko odsetki obracać na zapomogę? Kapitał, złożony w depozyt jakiej znanej instytucji finansowej, mógłby na długie lata zabezpieczyć, skromną stonkowo, ale stałą, zapomogę dla najuboższych studentów Uniwersytetu. Byłaby to niejako wieczysta fundacja, zachowująca we wdzięcznej pamięci ogółu czyn godzien wysokiego uznania. Zdaje nam się, iż takie cząstkowe stypendyum lepiej odpowiedziałoby celowi i więcej-by korzyści z czasem przyniosło.

Być może, iż ten przykład natchnie i innych do

naśladowania Dr. P. i że kiedyś z datków dobroczynnych zbierze się „Kapitał miasta Warszawy” dla uczącej się młodzieży ubogiej.

Niemając wcale zamiaru wstrzymywania dobrych chęci dla studentów Uniwersytetu naszego, którzy — tak nam się przynajmniej wydaje — najzupełniej zasługiwać muszą na te objawy sympaty i pomocy publicznej, chcemy choć słówko rzucić w sprawie młodszych ich kolegów po książce: mamy tu na myśli uczniów gimnazjalnych. To nierówne ustosunkowanie dobroczynności publicznej uderzać musi każdego, kto cokolwiek zastanawiał się nad porównaniem stanu biednego ucznia szkół średnich i biednego studenta wyższych zakładów naukowych. Jeden i drugi grzebie się przez życie z wysiłkiem często, z ofiarą wszelkich praw młodoci; lecz ileż trudniejszą bywa droga pierwszemu z nich, a jak mało środków pozostaje mu do zwalczania wszystkich przeciwności materialnych!

Kiedy akademik i zapracować już potrafi, i więcej po temu znajdzie sposobności, więcej posiadając danych, biedny gimnazysta, najczęściej wiszący ciężarem w budżecie licznej rodziny, zmuszony uczyć się dopiero „na chleb zarabiać” — niema jeszcze sił piąć się bez niczyjej pomocy do owych wyżyn, na których starszy jego kolega, czując się swobodniejszym, pomaga sobie raźniej — dojrzałszy wiekiem i doświadczeniem i stosunkami, a wspierany nadzieją rychłego już dopłynięcia do ładu.

Dla tego też sądzimy, iż tym maluczkim pracownikom przyszłości, porającym się w połowie drogi ze srogim losem, należałoby się również trochę więcej względów — a kto wie, czy nie byłoby to nawet ziarno plenniejsze? Zresztą nie mamy nic przeciw temu, żeby nawet złoty deszcz, jak na Danae spadł na naszą młodzież uniwersytecką, byleby ją tylko napełnił poczuciem obowiązku i wdzięczności dla społeczeństwa, które jej z pomocą pospieszało.

\* \* \*

Post Wielki nadszedł ze sporą wiązką prelekcji publicznych. Towarzystwo Osad Rolnych przez zabiegliwość swoją wytworzyło z odczytów urządzanych przez siebie osobną niejako instytucję wielkopostną, która takiej już używa wziętości, że w roku bieżącym po pierwszych ogłoszeniach o sprzedaży biletów, wszystkie miejsca, nawet na galeriach, rozechwytało — i w kilka dni już za żadne skarby świata z pierwszej ręki biletu dostać nie było można. Przyznać też należy, że programat odczytów jest bardzo zajmującym.

Rozpocznie całą kampanię prelekcyjną pan Włodzimierz Spasowicz wygłoszeniem poglądu na *Poezję Wincentego Pola*. Kto zna studyum p. Spasowicza o Syrokomli i rozbiór jego *Pamiętników Matuszewicza w Ateneum warszawskim*, ten przygotowanym być może na to, że w zapowiedzianym odczycie rzeczy społeczne nad literackimi przewagę mieć będą. — Czyni to wystąpienie p. Spasowicza ważniejszym, żywsze wzbudzającym zajęcie; ale zarazem nakazuje słuchaczom uzbroić się w pilniejszą, przezorniejszą, mędrszą niż zwykle uwagę, aby umysły i serca nie brały ryczałtem wszystkiego, co z katedry spadnie.

Inne odczyty mieć będą: prof. Karol Jurkiewicz (O drogich kamieniach), p. Alexander Rembowski, prof. Hoyer, prof. Białecki, prof. uniwersytetu Krakowskiego Stanisław Tarnowski, (Rozwój poezji romantycznej, w dalszym ciągu wykładu zeszłorocznego) pan Rostafiński i wreszcie p. Tadeusz Korzon.

Prawdziwie szczerą podzięką z góry już należy się p. Rembowskiemu za sam wybór przedmiotu do prelekcji: *O Stanisławie Leszczyńskim jako statystyce*. Tak mało wiemy o królu-filozofie i jego pojęciach — że dobrze będzie choć przez godzinę wysłuchać tego, co nam powie w tym przedmiocie specjalny badacz. Pan Rembowski, o ile wiemy, poświęcił Leszczyńskiemu i jego epoce osobną monografię, z której zapewne odczyt w streszczeniu wysnutym będzie.

Ważny dla inteligencji, bardzo zajmujący przedmiot, ma prelekcya pana Korzona: *Historik wobec swego narodu i wobec ludzkości*.

Niejedna kobieca główka zainteresowała się ży-

wo przedmiotem prelekcji p. Rostafińskiego: *O nocy S-to Jańskiej i Kwiecie paproci*.

Rozpoczęcie prelekcji z powodu koncertu na niezamierzonych uczniach gimnazjalnych opóźnieniu ulegnie. Prawdopodobnie pierwsza prelekcya pana Spasowicza odbędzie się dopiero w dniu 14 Marca.

Wszystkich wykładów będzie ośm i ciąg ich ukończony zostanie przed Wielkanocą.

\* \* \*

Przed kilkoma miesiącami dzienniki nasze podniosły krzyk zgrozy i oburzenia na jakiegoś śmiałka, co w zagranicznych dziennikach nastęcał się Niemcom do pośredniczenia w nabywaniu ziem polskich; powstały skargi na zarząd hotelu Europejskiego za zwabianie Niemców na dzierżawę do kraju. Poskutkowało to trochę: hotel dostał się przedsiębiorcy warszawskiemu. O sprzedaży znaczniejszych dóbr, po ostatnim, głośnym wypadku ze zmarnowaniem części spuścizny ś. p. Sierakowskiej — nie słyszeliśmy; tymczasem pruskie talary drażnią ciągle jeszcze usłużnych fagasów, którzy sprzedawaliby wszystko, nawet niemieckiemu dyabłu w kusym fraczku i pluderkach — rogatą duszę. Pojawiły się znowu ogłoszenia jakiegoś „pełnomocnika wysoce arystokratycznych osób” w *Berliner Börsen Zeitung*, który po umiarkowanej cenie zaleca niemieckim kupcom niektóre większe posiadłości w Rosyi i w Królestwie Polskiem. Panu pełnomocnikowi nie dziwimy się tyle, ale owe „wysoce arystokratyczne osoby”, pragnące się zbyć ojcowizny dają nam wiele do myślenia.

\* \* \*

Towarzystwo Lekarskie za zezwoleniem Władzy Wyższej rozesało odezwy o składanie dobrowolnych ofiar na utworzyć się mające stypendyum imienia ś. p. Polikarya Girsztowta.

O ile wiemy składki wpływają wolno i leniwo, — po naszymu!... z nami jak z żelazem: kuć trzeba na gorąco, inaczej nic. — A tyle było westchnień i wykrzykników po stracie zasłużonego męża nauki i obywatela; teraz, gdy przyszło do uczczenia jego pamięci — westchnąć przychodzi, ale z innych powodów.

Już to na dobrych i pocziwych intencjach nigdy nam nie zbywa, chociaż „co z oczu, to i z serca” — najczęściej się usuwa.

Czasami to czyn i myśl idą z sobą odrazu w parze; rzadki tego przykład znajdujemy w fakcie godnym naśladowania.

Oto, jak donosi *Kaliszanin*, urzędnicy i nauczyciele wyższej szkoły rzemieślniczej w Łodzi postanowili w ciągu lat sześciu składać 1% od pobieranej pensyi na wytworzenie funduszu dla wychowania i wykształcenia w tejże szkole dwóch sierot pozostałych po poległych w obecnej wojnie.

Znowu przykład ile dobrze zrozumiana dobroczynność małymi środkami prawdziwie dobrego uczynić może, — czego znowu niekażde szeroko rozgałęzione Towarzystwo Dobroczynności, apelujące może zanadto często do ofiarności publicznej, dokazać potrafi.

Wspomnienie o szkole rzemieślniczej w Łodzi nasuwa nam pod pióro drugi fakt świadczący, ile dobra i energicznie podjęta inicjatywa zdziałać może. W Lubartowie, wśród klasy mniej inteligentnej (!) znalazł się dzielny mieszczanin M., który wybrany w roku zeszłym na cechmistrza, potrafił panów majstrów lubartowskich przekonać, że terminator to zupełnie takie samo stworzenie Boże, jak „za pozwoleniem” czeladnik wywołony, a nawet i sam pan majster, i że rzucić patynkami, albo koziółki przewracać, dzieci kołysać i po wódkę starszym biegać — wszystko to niewiele wykształcić może umysł terminatora. Postęp rzemiosł wymaga, tak samo, jak na każdym innym polu, rozwoju inteligencji, a tej li tylko w warsztacie najsprytniejszy rzemieślnik nie nabędzie.

Otóż zawiązano w Lubartowie tymczasową szkołę niedzielną dla młodzieży rzemieślniczej, przy miejscowej szkółce elementarnej.



Podobno o potrzebie tych szkółek zaczynają mówić u nas coraz głośniej i wkrótce ma ta nowa instytucja rozwinąć się z projektu w rzeczywistość.

Rzecz to niemałej wagi. Rozwój umysłowy naszej młodzieży rzemieślniczej przedstawia się opłakanie. Co to pomoże ludzi siebie dobrimi zamiarami i urządzić odczyty o „ornamentacyi w przemyśle“ dla tych, którzy mają jeszcze wszystkie pojęcia w powijakach i powinni od abecadła zacząć swoje „wyższe ukształcenie“!

Nim zaczną skakać, niech się uczą chodzić.

Wykształcony rzemieślnik, a kształcony systematycznie, to czynnik ogromnie ważny dla całego przemysłu; przynosi on dziesięćkrotny pożytek sobie i ogółowi, dla którego pracuje. Wychowując od młodszych lat w dobrej szkole przemysłowców i rękodzielników, rozbudzimy w nich wyższe poczucie pracy i obowiązków, a wówczas nie potrzeba będzie, przy zakładaniu dla nich kas pożyczkowych i zapomogowych, za pierwszy warunek ustanawiać przymusowe składki. Z pojęciem i szerszym poznaniem rzeczy, wyrodi się w nich samych duch asocjacyi i dobre zrozumienie własnego interesu.

Już to o duchu asocjacyi mielibyśmy niejedno do powiedzenia, będąc właśnie pod wrażeniem sprawozdania z czynności „Merkurego“, który jako stowarzyszenie spożywcze mógłby z ogólnym pożytkiem rozwinąć się znakomicie przy bardzo małej gorliwości swych członków, — gdyby tylko ci członkowie chcieli być gorliwsiymi.

Ale cóż? — większa część z owych 1450 filarów tej instytucji nie doszła jeszcze do zrozumienia owego prawa, że jeśli należą do całej budowy, to powinni stać przy niej i podierać ją rzeczywistością; tymczasem szanowne kolumny spożywcze, poprzestają na samym tytule, niewypelniając wcale moralnych obowiązków względem instytucji. Oto ktoś ciekawy obliczył, że gdyby panowie członkowie zaopatrywali się w samo tylko pieczywo w owych 18-tu sklepach „Merkurego“ rozrzuconych po mieście, to obrót półroczny wyniósłby 78,300 rs.

Z samego tylko rabatu od tej summy, udzielanego przez piekarzy Towarzystwu, możnaby w ciągu roku założyć własną piekarnię i rozpocząć uczciwą konkurencyę w tym kierunku, co by musiało przecieź wpłynąć, jeśli nie na obniżenie cen pieczywa, to przynajmniej na najlepszy wyrób.

Ale ktoby-tam na bułkach spekulował! Albo mieć mięsa w bród, albo umierać z głodu, — takie to już u nas ostateczności.

## SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Musimy teraz na chwilę przerwać swoje opowiadanie i bliżej zapoznać czytelnika z topografią Łopatycz i Sierhina, niezbędnie do zrozumienia tego opowiadania potrzebną.

Oba dwory leżały, jakżeśmy już mówili, w niewielkiem od siebie oddaleniu; długim pasem gruntu ich stykały się z sobą.

Wyszedłszy przez mostek z Jasuły Łopatycznej (tak ją ks. ex-definitór nazywał), o kilkanaście kroków zaraz spotykało się lasem z sosen, brzóz i olech złożony. Ciągnął się on przez znaczną przestrzeń, prawie nieprzerwanie aż do tak zwanego traktu, który szedł z Sierhina. Tam, gdzie się stykały dwie drogi, niegdyś stała karczma należąca do Łopatycz, prawie tuż na granicy od sierhińskiej używalności. Uroczyście zwał się Dziewule. Karczma, już od lat pięćdziesiąt była zgorzała, sterczał tylko po niej komin okopcony, rozwalony piec, pusty loszek, w którym kuny gospodarowały, a na gruzach bujno porastały pokrzywy, dziewanny, łopuchy,

rdesty i wszelakie ziele, które tylko czeka, żeby się na pustkowiu tłustem rozprzestrzeć.

Silne było posądzenie na Strukczaszyca ludzi, jeśli nie na niego samego, że karcznię na Dziewulach podpalili. Czemyryński ciągle się zbierał ją odbudować. W pierwszym roku nawet zwieziono trochę drzewa; ale miało ono czas nadgnąć, a do budowy nie przyszło.

Tu dosyć szeroko wyjeżdżony gościniec, trochę piaszczysty, dzielił grunta Łopatyczne od lasu Sierhińskiego, do którego miał pretensyą Czemyryński i dlatego inaczej go jak „dyferencyą“ albo „używalnością“ nie nazywał.

Wprost naprzeciwko spalonej karczmy, staraniem sędziego, wzniesiony był ogromny krzyż, malowany czerwono, sumptem wielkim i z okazałością, na jaką się w Kobryńskim zdobyć tylko było można. Umieszczona u góry na nim figura Zbawiciela, z drzewa rzeźbiona, kolorami naturalnymi, nieco już teraz zblakłemi, była pokryta. Nad nią stał daszek i kogucik pozłacany na daszku. U dołu znajdowała się symboliczna trupia głowa, dwie kości na krzyż i rok, w którym zbudowano figurę. Dla ochronienia jej od kół wozów wracających z jarmarku—otoczono ją sztachetami, na których też ślady czerwonego malowania widać było. Czemyryński chlubił się tem, że takiej figury na mil dzielnicę w koło nie było. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

W piękne dni wiosny i lata nie było przyjemniejszej przechadzki z Łopatycz, jak wonnym lasem na Dziewule. Zbliżając się ku nim mieszany ów las zmieniał się w brzeźniak, podszyty trochę leszczyną. Nie nie było piękniejszego nad te smukłe, powyginane jak panienki w tańcu, z długimi warkoczami zielonemi, w białych sukienkach brzozy. Choć gdzieś tam którą swawolną ręką odebrała ze zwierzeźniej kory, pozostała rana pomarańczowa, czerwona, brunatna, wyglądała jak na białej szacie czerwona przepaska.

Było we zwyczaj u Łopatycz chodzić na spacer na Dziewule. Sędzia często odmawiał pacierze wieczorne pod krzyżem; sędzina, z powodu małego wzrostu, trzewiczków na korkach, usposobienia do sedenteryi, nie lubiła przechadzek,—dzierzgała, dryzłowała, robiła pończoszkę i drzemała w swoim krzeselku z wygodnym podnóżkiem: wychodziła więc bona z sędziąnką, czasem sędzia w towarzystwie ex-definitora, niekiedy sam jeden.

Wielka Noc tego roku była spóźniona, i po tych słotach i chłódach, o których wspominaliśmy, nastąpiły dni prześliczne. Brzozy się były zupełnie rozwinęły, i choć je uszkodzono wielce, obrywając mnóstwo pączków nierozwiniętych, dla namoczenia w spirytusie, choć i soku z nich natoczono dosyć ukradkiem—bują w tym roku cudnie i woń liści świeżych rozlewała się dokoła, balsamiczna, orzeźwiająca—tak, że według słów ks. ex-definitora, gdy człowiek godzinę tam oddychał tą ambrozyą, rok życia mu przybywał.

Wszyscy też jakoś na Dziewule pielgrzymowali, a p. Leonilla z Francuzką przynosiły z tamąd bukiety dzikich kwiatów tak osobliwych, że się im p. sędzina nie mogła wydziwić.

Święta Wielkanocne szczęśliwie jakoś już były przeszły, ostatnie święcone, złożone z okruszyn i pozostałości, zjedzono na przewody, i do Zielonych Świątek wrócił spokój domowy. (Na świątce sędzina miała zwyczaj piec drugie święcone). We Wtorek po przewodach, wieczorem, gdy niktogo w Łopatyczach nie było, a dzień ciepły i śliczny z domu wyprasał, p. sędzia Czemyryński, który od niejakiego czasu był frasobliwy i smutny, wzięwszy kij i czapkę, wyszedł, pacierze odmawiając, lasem na Dziewule.

Ciężko mu było czegoś na sercu,—Wiele rzeczy, o których milczał, nie powiodło mu się. Baron ów niemiecki nie wrócił wcale, a po bliższym badaniu doszedł sędzia, że to był hołysz, przybłąda, Me-klemburczyk, który z tego tylko żył, co na dworze króla jako podkoniuszy zarobił.

Starania o wstęgę utrudnione były tym tysiącem dukatów, którego chciwy Brühl wymagał. W domu z pieniędzmi i interesami nie szło lepiej; szczęściem jeszcze, że Czemyryński nie wglądał w ściśle rachunki. Mówił sobie: — „A po co się to zdało gryźć się będę tylko. Co się wyexpensowało, nie powróci.“ Wszystkie te zawody, strapienia, kłopo-

ty, do Pięciu ran Pańskich zaofiarowawszy, tem się pocieszał—że ludziom gorzej bywa.

Szedł z myślami temi i pacierzem na ustach, aż do lasu brzożowego. Tu, balsamiczna woń go orzeźwiła; począł ją w siebie wciągać pełnemi piersiami.

— Delicje! — powtarzał, skończywszy ostatnią modlitewkę.

Zdała już się czerwony krzyż pokazywał. Cichutko było w lesie; tylko dziecięcy kuły pracowicie w drzewach i głupia kukulka, przedrzwiewać się ich zdając, odzywała się gdzieś w brzeźniaku! Wolnym krokiem sędzia ze spuszczoną głową, począł się przybliżać ku krzyżowi i miał już czapkę zdjętą przed nim, gdy usłyszał kroki, podniósł oczy—i stanął jak wryty.

Z drugiej strony od Sierhina, w białym kitlu, w wysokiej letniej czapce na bok przewieszonej, podpasany rzemieniem, opierając się na grubym kiju, szedł krokiem mierzonym pan Strukczaszyce Hojski.

Spojrzeni na siebie—stanęli oba. Kroków może pięć ich dzieliło od siebie.

Czemyryński ramiona podniósł, głowę zadarł, w bok się jedną ręką wzięty, sparł na kiju i nie ruszał z miejsca.

Strukczaszyce, jakby się go uwziął przedrzeźniać, prawie podobną, ale butniejszą jeszcze, przybrał postawę; obu im usta drgały, a oczy ciskały pioruny. Na laskach oparte ręce konwulsyjnie dygotały.

Parę minut upłynęło w tem przykrem położeniu. — Gdy się zawrócę — myślał Czemyryński, będzie sądził, że się go boję i uciekam.

— Nie ustąpię kroku! — mówił w duchu Strukczaszyce. — Stójmy kto kogo przestoi!

Czemyryński sapał, Hojski poświstywał.

— A długoż-to tego będzie! — he! — krzyknął nareszcie unosząc się sędzia. — Ja tu jestem na moim gruncie.

— Ta! ta! ta! a ja na publicznym gościńcu — rozśmiał się Hojski.

— Myślisz, że ja się ciebie zlekne? — zawołał sędzia.

— Sądzisz, że ja się ciebie boję? he? — rzekł flegmatycznie Strukczaszyce.

— Coś-to ty mi za jeder?

— A ty?

Rzucili na się oczyma, jakby się pozjadać chcieli.

— Patrzenie go! tyka! tyka! — zawołał Czemyryński w passyi. — Szerepetka jakiś! mnie. — Wiesz ty coś za jeden, a co ja!

I w piersi się stuknęła kulakiem.

Strukczaszyce śmiał się drwiąco.

— Coś ty za jeden, to ja wiem! he. Hojsey kniaziami tu byli, gdy twój pradziadek jeszcze w Czarnawczycach obwarzanki przedawał!

Posłyszawszy to horrendum, sędzia zrobił się czerwony, siny, o mało go nie zabiła apoplexya; rzucił się cały. W tem jakoś na krzyż spojrzął i to go pohamowało. Zabełkotał tylko:

— Grabieżcy! rozbójniki, napastniki!

— A wy co? — odparł, niechęć pozostać dłużnym, Strukczaszyce. — Dmiecie się jak pęcherze, państwo w głowie a dziury w kieszeni! Fanaberye! wielki mi pan! fiul fiul!

Czemyryński do takiej był doprowadzony passyi, iż kontenans zupełnie straciwszy, kij, który trzymał w ręce, do góry podniósł.

W tej chwili Strukczaszyce, pilnie go mający na oku, sekątką pałką, machnął w powietrzu.

Lecz nie ruszyli kroku, stali jak wryci.

— Ty! ty! jakiś! — bełkotał sędzia.

— Cóż ty mi kijem będziesz wywijał? — odezwał się Strukczaszyce — chłopska natura się odzywa: radby się bić na kije. A no! ja-bo na ciebie mam dawno apetyt. Jeżeli nie jesteś tehórz, to i owszem, owszem, przyjdź tu jutro wieczorkiem, albo o brzaszku z szerpetyną sprobujemy się po szlachecku. Aleś tehórz!

— Słyszysz ty! — wyrwał się Czemyryński — milcz! Choć nie jesteś mi równym—tak mi pomóż Boże, stanę z szablą i uszy ci poobcinam.—Stanę.

— Kiedy? — podchwycił Strukczaszyce — służę! z miłą chęcią? Kiedy?

— Jutro wieczorem o tej porze! — zawołał Czemyryński.

— Zgodził się! — rzekł, kij spuszcza-



Strukezaszyc, ale słuchaj-no, ty żółto brzuchu—ja ci nie wierzę. Ty mi tu ciżbę naprowadzisz, w tobie chłopska czy mieszczańska natura... sam z szablą nie zechcesz się stawić.—Zaraz ci będzie dworu potrzeba.

— Milcz, nie bluzgaj! mówię milcz!— zakrzyczał Czemyryński.— Rozprawimy się.

— Na cztery oczy?

— Na cztery.

— Patrzaj-że—dodał wskazując na figurę Strukezaszyc—Oto wizerunek Zbawiciela, który nas sądzić będzie: biorę go na świadka tego, coś rzekł. Kto zdradzi, tego niech prawica Boża ukarze!

Czemyryński podniósł tylko oczy zaczerwienione ku krzyżowi i nie rzekł słowa.

— No — a teraz dobranoc waszeci — dodał szydersko Strukezaszyc. — Jutro—tu, o tej samej porze. Słowo się dało.

Czemyryński odwrócił się plecami.

Strukezaszyc, oddając mu wzajemnością, trochę nawet poły kitła zatoczył, pałką zamachnął i rozszedł się, każdy w swoją stronę.

Sędzia był tak zirytowany, że ledwie kroków kilkanaście uszedłszy, musiał stanąć, otrzeć pot z czoła, odetchnąć. Oparł się o drzewo; byłby może przysiadł na ziemi, ale przy jego korpulencji wstawanie stawało się przytrudnem. Musiał poprzestać na wytchnieniu.

Noga za nogą włókł się z powrotem ku Łopatyczom. Wśród rozmowy z sąsiadem, nie ważyło się słów, nie było czasu rozmyślać co się rzekło i co usłyszało. Teraz dopiero wszystko na pamięć przychodziło, a sztyrdzwa Strukezaszycy piekły jak żelazem gorącym. Szczególniej owo zadanie bezczelne, że dziadek jego w Czarnawczycach obwarzanki przedawał, a razem twierdzenie, że Hojscy kniaziami byli!

W głowie to tak się męciło sędziemu, iż potrzebując ład jakiś uczynić w myślach, nimby do domu powrócił, stawał kilka razy.

— Dawszy słowo, że się nikogo nie weźmie, nie można też było mówić nikomu o tem, co się stało. Sędzia do jutra wieczora musiał się ukrywać, milczeć, nie dać poznać po sobie, że w nim wnetrznosci kipiły z gniewu. Zwierzyć się nawet *sub rosa*, komukolwiekby, było zdradzeniem przysięgi!

Z drugiej strony Hojskiemu całe nie wierzył, sądził go do wszelkiej zdrady zdolnym, na wszelką niepoczywłość gotowym.

Naostatek — Czemyryński jak każdy szlachcic owych czasów, z szablą sobie umiał dać rady, ale, nigdy nią tak jak inni rębacze nie władał, Strukezaszyc był silniejszy, i — kto mógł wiedzieć, jak się bił?

Gniew mógł dodać siły i impetu, ale losy takich walk niepewne: Hojski na śmierć gotów był zarażać.

Wszystko to rozważywszy, przyszedł do tego postanowienia sędzia, żeby *sub sigillo confessionis*, wypowiedział się ks. ex-definitorowi. Był-ci i on szlachcic i nie niegodnego stanowi rycerskiemu doradzić nie mógł.

Zbliżając się już do dworu, sędzia, dla zupełnego uspokojenia, odmówił modlitwę, dodał koronkę do Przemienienia Pańskiego, naostatek Anioł Pański; u studni kazał sobie czerpakiem wody świeżej podać, i jakotako po alteracyi tej uspokojony, wszedł do domu, gdy już tylko na niego z wieczerzą oczekiwaną.

Mitygował się jak mógł, zagadał o balsamicznem powietrzu, o przyjemnej przechadzce, o pogodzie, o wiosnie; a jednak sędzina spojrzawszy na niego—szepnęła:

— Czegoś jegomość czy zmęczony — czy fraso-bliwy — bo coś błądy i oczy czerwone!

— Gdzie tam! co ma być! — rzekł Czemyryński. Nie mi nie jest, tylko aura wieczorna, to wiadomo, działa na człowieka.

Mimo wymówki tej domowi przy wieczerzy, ze sposobu jedzenia, mówienia, zapominania się, zamysłania wnosząc, uważali wszyscy, iż sędzia był — nieswój.

Po wieczerzy z pośpiechem ujął gospodarz pod rękę ks. ex-definitora i zaprowadził go do kancelaryi. I to było niezwykajnem.

— Mój ojciec — rzekł cicho a pośpiesznie — mam coś do powiedzenia, do poradzenia się, jako dyrektora sumienia — ale — *sub sigillo confessionis*.

Zdumiał się mocno Dominikanin. Po przestanku małym sędzia go odprowadził do okna i bardzo cichym głosem opowiedział całą scenę, której byliśmy świadkami. Naturalnie tak ją powtórzył, jak mu wypadało, jak ją chciał mieć, a nie tak może jak była! Książd ręce łamał.

Gdy się opowiadanie skończyło, Dominikanin milczał chwilę. Jako książd, wyzwania na rękę nie mógł ani pochwalić, ani dopuścić; lecz jako szlachcic wiedział, że próżnoby było, nawet kłatwą kościelną chcieć odwozić od stawienia się na placu.

— Ale to fatalna jest rzecz! fatalna! — odezwał się: — Asindziej rękę straciłeś, dawno szabli nie używając, to zjadła sztuka. To się nie godzi. Zresztą spotkanie bez świadków — rzecz niesłychana.

— Słowo! słowo! — zamruczał Czemyryński.

Po długim targu i rozprawach, stanęło wreszcie na tem, że sędzia miał wyniść na plac; ale ks. ex-definitor z brewiarzem mógł nadejść i albo przeszkodzić walce, albo ją powstrzymać.

— Kto mnie może zabronić pójść do krzyża! — rzekł Dominikanin. Inaczej nie dopuszczę; a jutro na intencją, aby się to bez krwi rozlewu obeszło, mszyczkę świętą odprawię.

Sędzia przypominał jeszcze, że tajemnica była powierzona jak na spowiedzi. Nie wątpił zresztą że jej ex-definitor dotrzyma.

Cały dzień następujący wszyscy domownicy znowu uważali, że Czemyryński chodził jak przybity, zamysłony, smutny i powzdychujący.

W Sierhinie nikomu na myśl nie przyszło Strukezaszycę posadzać o krwiożercze zamiary. Powrócił bowiem do domu wesół, ożywiony, pałką machając — i z p. Blandyny podżartowywał, co było zawsze dowodem nadzwyczaj szczęśliwego usposobienia.

Nikt go nie podpatrzył, gdy po obiedzie, w swoim pokoju szablę z kołka zdjął, pocałował ją, przeżegnał, z pochew dobył, otarł, wyostrzył i poprobował jakim-by sposobem mógł ją tak schować pod kitel, aby jej widać nie było.

Jeszcze do zmierzchu było daleko, gdy już Strukezaszyc, jakby w miejscu mu usiedzieć było trudno, z pałką na przechadzkę ku lasowi wyruszył.

Łopatycy pan, także nad wieczór zagadał o tem, że świeżego powietrza potrzebuje, i zaprosiwszy z sobą ex-definitora, ruszył ku figurze.

Dominikanin miał pozostać w zaroślach i nie ukazywać się, aż gdy się ichność raz i drugi złożą.

Pierwszy na placu znalazł się Strukezaszyc; aż tchnął całą piersią, gdy tu stanął.

Spojrzał na figurę.

— Jezusie Nazareński! — rzekł w duchu — ty widzisz serce moje, że życia ludzkiego nie pragnę; dajże mi to tylko, abym kropelkę krwi jego utoczył za krew syna mojego, za wszystkie męki i strapienia moje.

Zmówił modlitewkę, nastawił ucha — nikt nie przychodził.

— Kto go tam wie. To plemię zdradzieckie: gotów bestya nie przyjąć. No — to go opublikuję i do akt podam jako infamis! Coraz bardziej się już niecierpliwie zaczynał Strukezaszyc, i krew już w nim się burzyła, gdy nagle usłyszał kroki.

Ktoś szedł — stanął.

Na ścieżce ukazał się sędzia, szablę dobywający z pod kapoty.

— A no! przecie! ja tu już od godziny czekam.

— Przecież — em się nie spóźnił.

— No, to jam się widać pośpieszył — rzekł Strukezaszyc, już dobywając szabli, a pochwę rzucając na ziemię. — „Gadu, gadu — a psy w krupach,“ my tu gawędzimy, a gotów kto nadjechać.

Służę.

I stanął wyzywająco stary.

Czemyrynskiemu też zrobiło się z gniewu gorąco: szablę wychylił z pochwy, położył i zbliżył się.

Spojrzeli sobie w oczy, — drwiąco Hojski, zjadł sędzia.

Pomimo krwi zimnej, którą chciał Strukezaszyc okazać, po twarzy jego przechodziły jakby strumienie tłumionej zażartości.

Złożyli się raz; brzękły żeleźce, a tu już w obu szlachecka krew poczęła grać swoje. Skoczył Hojski i płał, ale po szabli, rzucił się Czemyryński i chybił. Strukezaszyc miał obrachowany raz,

i natychmiast powtórzył uderzenie, prosto mierząc w głowę. Nim się miał czas zastąpić sędzia, szabla Hojskiego rozcięła mu skórę na czole i krew trysnęła. Rana nie była ani niebezpieczna, ani głęboka, ale oczy krwią zaczynały zapływać. Byłby może Hojski poprawił i gorzej obciął przeciwnika, gdyby naprzeciw niego nie zjawił się w tym momencie ks. ex-definitor z otwartym brewiarzem w rękę i nie krzyknął:

— Na rany Pańskie! a to co jest? Hamujcie się! Cóż to? napaść na gładkiej drodze! Bez świadków bitwa! Słychana rzecz! W imię Pańskie — hola!

Strukezaszyc stanął i krok się cofnął; Czemyryński też, i rękę przyłożywszy do czoła, krew ocierał, niemówiąc nic.

Książd Ambroży tymczasem pośpieszył stanąć pomiędzy walczącymi i powagą swą hamował.

— A że też waćpanu nie wstyd, panie Hojski — zawołał — a godziż się to?

Strukezaszyc stał głową kiwając, jeszcze rozżarty począł i tak skoro przerwaną bitwą.

— Co? co? — odparł. — Cóż ty wiesz, księżuniu! Kto począł i kto winien, że na mnie napadasz! Gospodaruj w zakrystyi a nie tu! Także — proszę! To nie twoja rzecz.

— A moją! krzyknął gwałtownie oburzony duchowny. Co asindziej mi będziesz nauki dawał! Obraza Boża! śmiech ludzi. Starzy ludzie. Nie dosyć, że się zjadacie lat tyle po polach i łąkach, na papierze, po trybunałach — jeszcze —

— Obróć-że się do swojego! — przerwał Strukezaszyc. — Jam kozioł, a ten to baranek niewinny! Ten!

I wskazał ręką na sędziego, który wciąż jeszcze ciekącą krew ocierał.

— Żebyście mieli mnie tu posiekać na drobne kawałki — zawołał Dominikanin — bić się nie dopuszczę — dosyć już i tak krwi.

Słyszając to Hojski, z wielką flegmą szablę, którą jeszcze trzymał w ręku, począł o kitel ocierać, schylił się do pochwy leżącej na ziemi, i w milczeniu żeleziec chował.

Czemyryński stał, niewiedząc co począć.

— Przerwana, nie skończona, nie rozegrana! — mruknął. Spotkamy się może gdzieindziej!

— Kiedy, jak i gdzie się podoba, choć o północy — służeń! zaśmiał się Strukezaszyc. Tylko asindziej Dominikanina nie sprowadzaj jak dziś, bo na spowiedź i ostatnie pomazanie ja zawsze dość waści tehu zostawię.

Oburzył się na to Czemyryński.

— Ja nikogo nie sprowadzałem! — zawołał.

Hojski ramionami ruszył, chciał iść.

— Spotkamy się inną raz! spotkamy — powtórzył Sędzia — a no, suplikuję, co dziś między nami było, aby milczeniem pokryć.

— To Dominikanin wyśpiewał! — rzekł Hojski.

— Ja, nie — odezwał się książd, — kapłańskiem słowem ręczę.

— Ja nie rozgłoszę, począł sędzia, a spodziewam się, że jegomość, pan z kniazów Hojskich, dziedzic na Sierhinie, nie będzie się chwalił, bo nie ma czem.

— Patrzaj-no — ty z obwarzanków czarnawczyckich hrabio na Łopatyczach, abym ja się kiedyś na twoich wioskach nie pisał! — huknął Strukezaszyc.

— Daj słowo! — dorzucił Dominikanin — po co ludzi śmieszyć.

— Ja i daję słowo i dotrzymuję słowa! odparł Hojski — kłaniam uniżenie — *ad videndum et continuendum*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korrespondencya z Ameryki.

Waszyngton, d. 15 Stycznia 1878 r.

### KONWENCYA KOBIECA.

Cały przeszły tydzień miasto nasze było świadkiem nadzwyczajnego napływu lepszej połowy



człowieczego rodu. Był to zjazd kobiet zwołany przez reprezentantki: *Assocjacji Powszecznego głosowania* (Universal suffrage Association) — stowarzyszenia lepiej znanego pod nazwą: „Woman's Rights“, *Prawa kobiety*. Powód tego zjazdu poprzedniejszych znakomitości, z najodleglejszych stron Stanów Zjednoczonych, był nielada, gdyby o nim wnioskować chciało tylko z wyrazu na licach i niepospolitej ruchliwości.

Widzieć można było między przybyłymi twarze groźne, wejrzenia podejrzliwe, gniewne lica, pogardliwe usta, ironię, pogardę, nawet politowanie; ale czego najwięcej, to zmaszczek i zupełny brak wdzięku i lat młodych. Czyby to był objaw zemsty?...

Pytany przez nieświadomego przybysza mieszkaniec miejscowy: co to wszystko znaczyć może? przeróżne, najsprzeczniejsze słyszał odpowiedzi. Jeden, wystraszony, zbywał ciekawego machnięciem ręki, wskazaniem na gmach Lincoln'a, wykrzyknikiem: „Panie, to dzień ostateczny!“ Inny znowu wypogodzonym czołem rozśmieszał zafrasowanego badacza upewnieniem, że to wigilia Millenium! Trzeci, rozdąsany, chwytając się za głowę, mówił: „Proszę pani, dzieci w domu krzyczą, bo nie nie jadły jeszcze, a jejmość w Lincolnhall rezolucje spisuje od wczoraj o zbawieniu ludzkości! Polityczny spekulant, według partyi, albo się obawiał, że więcej będzie trudności z nabyciem wotów, albo cieszył, że kłopotliwa kwestya Mormonów upadnie bez niepewnych wysiłków. Każdy, słowem, według swej wiedzy, lub widzieli się i sądził i odpowiadał, ale nie lepiej było w Halli Lincoln'a: nieograniczone żądania, a czasu brak na odpowiedź; mniej zasad, a więcej skarg. Może ten więc najlepiej konwencję zdefiniował, kto ją przyrównał do wczesnego u nas Kwietnia: częste, szybkie chmury i częsty blask rażący słońca, a jednak na pogodę liczyć nie wolno; zakwitną około południa przelaszczki, ale je zwarzy mrozek wieczoru.

Wszelako nie powiemy, że cała rzecz jest niczem w sobie, lub że tylko jest śmieszna; ale nie minimy się z prawdą, gdy oświadczymy, że za często jest śmiesznie przedstawiana, lub nie na stanowisku, do jakiegoby prawo rościć mogła. Według mnie prawo to posiada ona *niezawodnie*.

Konwencja obecna kobiet była dziesiątą z porządku, zwołaną do Waszyngtonu dla stanowczego kroku w czasie regularnej sessji kongresu Stanów Zjednoczonych w celu zaprowadzenia 16-tej poprawy w głównej ustawie narodowej.

Trzeci to już będzie projekt, który chce zamienić się w prawo krajowe pod tą złowrogą liczbą. Pierwszy był temu lat cztery czy pięć, który chciał mieć wybór prezydenta co lat szesć, zamiast czterech jak jest w prawie. Drugi odnosił się do publicznej edukacji i jej funduszy. Ten ma być trzecim pod tą samą liczbą. Oba poprzednie miały swe pomysły chwile, ale dziś czekają jeszcze przyszłości. Jest prawdopodobieństwo bardziej jeszcze uzasadnione, że i niniejszy projekt tego samego co i dwa poprzednie losu dozna.

D. 8 Stycznia prezydentka stowarzyszenia Pani doktor medycyny, Klementyna L. Lozier, otworzyła konwencję w *Lincoln's Hall*, wzywając, według zwykłej formy do odmówienia modlitwy jedną z *delegatów* panią Elżbietę Boyton Harbert, redaktorkę pisma w Bostonie. Pani E. B. Harbert, po krótkiej do Jehowy modlitwie, zanuciła hymn: „*Hold the fort, Till last armed foe expired!*“ Potem wezwała licznie zebraną publiczność, aby jej wtórowała w antyfonie:

*My country 'tis of thee  
Sweetland of liberty (1)*

Następnie pani Lozier zagała doroczne posiedzenie, wykazując stan finansowy stowarzyszenia. Raport pokazał, że było przychodu dolarów 689, rozchodu zaś 686 i długi przytem przeszło 500. Z tegoby się zdawało, że finanse niebardzo przemawiają za entuzjazmem stowarzyszenia; tembardziej, że do wpływu skarbowego przyczynił się datek senatora z Newady p. Johnsona—dol. 100

(1) Ojczyzno — tyle więc ci zostało z ciebie i swobód twoich (dosłowne znaczenie). (*Przyp. Aut.*)

i dwóch dam po dol. 50 od każdej. Jednakże sekretarz Assocjacji, pani professor kollegium handlowego w Waszyngtonie, Sara Spencer, oświadczyła, że w ostatnich trzech dniach przed otwarciem konwencji przyszło na jej ręce dwa tysiące z okładem listów i do 25,000 podpisów tak od dam jak od mężczyzn z różnych stron, cel konwencji popierających.

Assocjacja, o ile nam tu wiadomo, nie jest li tylko przez same kobiety popieraną. Wiele bardzo niepospolitych zdolności, pod wszelkimi względami poważnych dzienników, przeglądów etc., bardzo wielu znakomitszych pisarzy, publicystów, kaznodziejów, senatorów lub reprezentantów—popierają ruch stowarzyszenia i wymagania kobiet.

Niema może prawodawstwa w świecie chrześcijańskim, któreby tyle co prawodawstwo stare angielskie, dawało powodów do silnego upominania się w czasach naszych o prawa kobiety. Jestto niezawodnie zabytek bardzo dawnego prawa czy zwyczajowego nadużycia, o którym dziś jeszcze słyszymy czasem: przedawania żony na publicznym targu i prowadzenia na rynek uwiązanej sznurem za szyję. Sławną przecież była do końca pierwszej połowy bieżącego stulecia Gretna-Green, jej kuźnia i kowal, dający śluby małżeństwu ważne. Zapewne w Ameryce nie potrzebowano nigdy Gretna-Green, bo w prawach amerykańskich pod względem dawania prawnych ślubów nie było nigdy ani wielkich przygotowań, ani form lub utrudnień a nawet ostrożności. Dostyc oświadczenia stron interesowanych przed pierwszym lepszym urzędnikiem, sędzią, kapitanem okrętu, lub choćby głównym szyprem kopyi rzecznej, lub konduktorem drogi żelaznej. Zresztą dostyc jest dwuletniego pożyczania pod jednym dachem i wzajemnego tytułowania się mężem lub żoną, aby małżeństwo było uważane za prawne, byle nie było przypadku bigamii.

Słusznie bardzo jeden z najsumienniejszych dzienników w Ameryce, *Baltimore Sun*, z okoliczności ostatniej konwencji, powiada: „Od niejakiego czasu przycichły były jakoś wieści o publicznych wystąpieniach kobiet, szczególnie tych, które stoją na czele ruchu. Pisma wprawdzie od czasu do czasu podawały artykuły pióra zdolniejszych z tego grona dam. Zdało się atoli, że sprawa chyli się do upadku, szczególnie od czasu głośnego skandalu jej najpotężniejszych koryfeuszów: Reverend (wielebny) Henryka Ward Beecher i Teodora Tilton'a, zrazu długo najzażyłszych przyjaciół, dziś najnieubłagańszych wzajem wrogów, oraz od czasu prelekcji pani Woodhill i pani Claffin, którym *General Suffrage* nie starczy; nakoniec od czasu śmiesznych wystąpień pań z *blumerystowskiego* autoramentu: doktora i majora Maryi Walker, jej adjutanta pani Stokes i starej damy, doktora Tilliston. — Mimo skrupulatnego wyboru geniuszów w spódnicach na zjazd do Waszyngtonu, wszystko zdaje się zapowiadać, że Assocjacja przeżyła swe najpiękniejsze czasy. Bo też prawa same o tyle, o ile u nas mogły przynieść ulg w położeniu kobiety, które Jan Stuart Mill nazywał niewolą, zdaje się, że zrobiły wiele i położyły koniec słusznym skargom. Fakta tego dowodzą, którym zaprzeczyć nie mogą kobiety, reprezentujące pleć swoją. Wiadomo też, że jesteśmy ciągle na drodze do dalszych polepszeń.

Lecz, aby być bezstronnym, zostawmy na chwilę Amerykanki na stronie, a posłuchajmy co w tej mierze wypowiedziała Lady Amberley, synowa margrabiego Russell. — Kobieta ta niezawodnie słuszenie prowadziła rej między kobietami Anglii. „Żądamy, pisała ona: 1) Poprawy w wychowaniu i wykształceniu dziewcząt; 2) równouprawnienia kobiety w nabywaniu wiadomości, umiejętności i nauk w najwyższych ich sferach i działach, do jakich dziś tylko mężczyzna jest dopuszczanym; 3) aby wszystkie professye, zajęcia, rzemiosła, były dla kobiet otwartemi; 4) aby żony miały równe prawa do własności i były pod tym względem na zupełnej równi z mężem; 5) aby wdowom było przyznane prawo *jedynej* opiekunki dzieci; 6) aby swobody były rozciągnięte na kobiety w taki sposób, któryby im zapewnił wszelką trwałość i opiekę wszelką; 7) aby polityczne i towarzyskie stosunki, działalność i interesa, zarówno jej (kobiecie) przyznawanemi i dostępne

mi były; 8) aby opinia publiczna uszczęśliwiała i szanowała wszelkie zatrudnienia kobiety, które przez się są dobre, uczciwe i stosowne dla jej sił i zdolności; 9) aby prawo podległości w małżeństwie ustało i 10) nakoniec, aby ta sama była płaca kobiecie za równą i też samą robotę z mężczyzną“.

Przypuściwszy teraz, że to, co może być wystarczającym dla kobiet Anglii i co może je tam uszczęśliwić, winno być dostatecznym i dla Amerykanek; że upominania się, słowem, kobiet w Ameryce są podobnej treści—obaczmy: azali wszystkie wyżej wyliczone prawa, wyjąwszy *głosowanie*, nie są już w ręku Amerykanek? Głosowanie i prawo do urzędów wybieralnych nawet jest wolne i otwarte w Ameryce na *terytorjum* Wyoming. Tam kobiety głosują, są urzędnikami, sędziami i należą do *jury*.

Mamy w Stanach Zjednoczonych wyłączne uniwersytety, licea i kollegia dla kobiet. Nadto inne, prawie wszystkie, gdzie miejscowość pozwala, są dla kobiet otwarte. Do kobiecych zakładów, jak Vassar, Wellesley i im podobnych, mężczyźni wcale się nie napierają. W kollegiach, liceach uniwersyteckich zajmują kobiety katedry: matematyki, astronomii, geologii, geodezyi, mineralogii, zoologii, medycyny, ekwitacyi, paleontologii, archeologii, mineralogii i metalurgii, biologii i fizjologii.—słowem wszystkich *logij, omij i ezyj* etc., nadto posiadają najzupełniej własne muzea, laboratoria, gabinety, atenea, teatru etc. Mają wszelkie sposobności i ułatwienia do nauki języków: sanskryckiego, chaldejskiego, arabskiego, hebrajskiego, greckiego, łacińskiego i t. d.; wszystkich nowożytnych nie wyjmując Irokieszów i Appaczów <sup>1)</sup>. Każda dama może przyczepić ile chce razy tytuł *Reverend* do swego nazwiska i tylko może mieć o to zajście jakąskolwiek kongregacyą. Nawet ordzewiały wrota jurystów stoją dziś u nas dla nich otworem. Alboż-to nie mamy mecenasów, patronów w Waszyngtonie—N.-Karolinie i N.-Yorku, na Dalekim Zachodzie i nad Pacyfikiem? Wiadomo zresztą, że dziś i w sądach sędziom najwięcej damy dają do myślenia. O liezbie lekarzy już i mówić trudno; choroby powinnyby uciec z Ameryki... Publiczność wszędzie w Stanach Zjednoczonych szanuje zatrudnienie kobiety, a po biurach niejedna ma wyższą i lepszą posadę od męża, brata, ojca. Niema prawnej uległości w małżeństwach amerykańskich; a w procesach kobieta zawsze wygrywa, choć czasem uniewinnioną być nie może.

Jeśli, wyjątkowo, są różnice w płacy za robotę, jest to wynikiem stosunków handlowych i każdy zrozumie łatwo, że prawo tym przypadkom zaradzić nie może.

Ze wszystkich więc żądań kobiecych pozostaje, jak nadmieniliśmy, niezaspokojonem, jedno tylko głosowanie: *suffrage!*

O tę-to krzywdę konwencja do kongresu ma kołatać różnemi sposobami, na jakie kobiecey umysł zdobyć się może i jaki podyktuje od dawnego czasu prowadzone już działanie.

(Dokończenie nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż 28 Lutego 1877 r.

Śmierć kardynała Brossays-Saint-Marc. — Anegdota z życia dostojnego prałata. — Śmierć ojca Secchiego, Jezuita, sławnego astronoma Rzymskiego. — Pogrzeb narodowy znakomitego profesora Klaudyusza Bernarda. — Kilka szczegółów z pierwszej młodości genialnego filologa. — Zgon malarza i sztycharza Karola Daubigny'ego. — Nowa książka p. Tissota *Wiedza i życie wiekowe*. — Pierwszy tom *Teatru Perskiego*, tłumaczenie p. Alexandra Chodźki. — Dziwny fenomen w literaturze wschodniej. — Misterya perskie. Charakterystyka tych utworów i prawdziwe ich znaczenie. — Rzadki i jedyny rękopis tego repertuaru w Europie; nabycie go i to, co on w sobie zawiera. — Przedmiot główny tych religijnych dramatów. — Historyczne wspomnienie o imanach sekty Szeitów. — Sposób, w jaki te przedstawienia odbywają się w Persyi.—Zkąd i dlaczego ten artykuł?

(1) Indyjanie w Meksyku, stanowiący jedno z głównych plemion, od Tolteków jeszcze wywodzące się: nie przyjęli jeszcze do dziś dnia chrześcijaństwa i jako tacy urzędownie zaliczani są do kategorii *bravos*. (*Prz. Red.*)



Kościół i cały świat katolicki poniósł tak wielką, tak nieodżałowaną, a pod każdym względem tak niepowrotną stratę, że korespondent nasz doznaje jakby skrupułu sumienia — dotykać swem lekkim piórem tak ważnej rzeczy... Pominąć przecież zupełne milczeniem nie godzi mi się śmierci Ojca Świętego... jestem więc pełen wahania się i niepewności... Myślałem z początku posłać wam osobiste moje wspomnienie tych chwil, kiedy miałem to szczęście złożyć u nóg Ojca Świętego hołd mojego synowskiego uwielbienia i w pobożnej pokorze otrzymać apostołskie jego błogosławieństwo. Wspomnienia te są już stare, odległe bardzo, odnoszą się do pierwszych lat panowania zmarłego papieża i do pierwszych dni ciężkich prób i kolei, na jakie wystawionem zostało jego serce, przepelnione miłością i miłosierdziem bez granic. Było to w 1849 roku. Napocznym świadkiem zabójstwa Rossiego, ucieczki Ojca Świętego, oblężenia Rzymu i powrotu papieża, znałem wielu ludzi, patrzyłem z blizką na wiele bardzo wypadków. Po trzykroć przypuszczony do stóp Ojca Świętego, miałem niewysłowione szczęście, nie powiem, rozmawiać z papieżem, ale słyszeć go mówiącego o rzeczach o ludziach z owego czasu. Chciałem więc podzielić się temi wspomnieniami z czytelnikami *Bluszcza*. Ale czy byłoby to na dobre — mówiąc po katolicku — czy wolno mnie, biednemu, nieznanemu pisarzowi korespondencyj, występować dziś w tej roli zbieracza nowin na takim polu i w obec takiego wypadku, — takiej osobistości świętej, takiej powszechnej boleści i żałoby?

Nie — odpowiedziało mi sumienie. Inne już, inne pióro wypowiedziało na kartach *Bluszcza* to, co jest w głębi serc katolickich, w głębi powszechnego uczucia i w poważnym cieniu żałobą okrytych świątyń naszych. Dosyć więc dla waszego korespondenta, że przechodząc przed tą, ledwieco zamkniętą trumną, ugiął pobożnie kolana i poprosił o modlitwę za nas, za wszystkich, tego, do którego modlimy się dziś wszyscy; bo on, zaiste, naszych biednych, maluczkich modlitw nie potrzebuje wcale — on, co w miłości i prawości stanął przed Bogiem...

Śmierć krząta się pilnie. Dnia 26 Lutego umarł w Rennes w Bretanii arcybiskup, kardynał Brossays-Saint-Marc. Był to jeden z luminarzy francuskiego kościoła. Choroba, na którą zmarł dostojny prałat, była przyczyną jego nieobecności na conclave rzymskiej. Kardynał miał lat 76, a był członkiem świętego kolegium od roku 1875. Po trzydziestu siedmiu latach dostojności biskupiej Brossays umarł, niezostawiwszy najmniejszej fortuny. Całe jego osobiste mienie i dochody użyte przezeń zostały na założenie kolegium Świętego Wincentego a Paulo i na restaurację katedry w Rennes — to ostatnie dzieło prawdziwie olbrzymie! Biedni i ubodzy tracą w nim prawdziwego ojca, który dawał, nie licząc. Żal po nim jest powszechny. Kardynał był słusznego wzrostu i bardzo chudy. Wzrok jego niezmiernie ruchliwy, krok prędki i jakby szarpany, dowodziły natury żywej i niezmiernie wrażliwej; takim on był wistocie, a przytem posiadał wielką naukę, wielki rozum, łatwą wymowę, z pewnym odcieniem uszczypliwej czasami ironii, chociaż serce miał pełne anielskiej dobroci, która łagodziła wszystko natychmiast. Godłem jego były te pamiętne słowa S-go Pawła: *Omnibus caritas*; „miłosierdzie dla wszystkich.“ Otóż razu jednego, mówiąc o rzeczach wewnętrznej bieżącej polityki kraju, kardynał odezwał się z wielką żywością, w uszczypliwych wyrażeniach, o jednym z ludzi politycznych, wysoko bardzo stojącym w Izbie poselskiej. Ktoś z poufale przyjacielów prałata, przytomny tej rozmowie, powiedział mu z uśmiechem:

— Jakże to Wasza Eminencya może pogodzić tak ostry przycinek, uczyniony temu biednemu X... z owem godłem swojego życia: *Omnibus caritas*?

— Ha! — odpowiedział z żywością kardynał X... ależ ja go nie przyjmuję wcale do mego omnibusu! Świątobliwy, miłosierny, najprzykładniejszego życia, nieboszczyk-kardynał poświęcał się cały sprawom kościoła i swej diecezji. Wspaniała restauracja, artystyczna i umiejętna, ogromnej, starożytnej katedry w Rennes, stała się, jak mówiłem, wyłącznym przedmiotem zajęć ostatnich lat życia.

Arceybiskup poświęcił jej wszystko, co miał — pieniądze, usiłowań i wpływów.

Tegoż samego dnia, 26 Lutego, zakończył życie w Rzymie, Jezuita, sławny astronom i dyrektor obserwatorium rzymskiego, ojciec Secchi. Ważne jego prace około rachunków astronomicznych, uczone spostrzeżenia obrotów planety Marsa, a szczególnie jego nowa hipoteza o plamach słonecznych i o naturze tego ciała i zastosowanie fotografii do spostrzeżeń astronomicznych, dały mu wielką powagę w świecie uczonym. Była to inteligencya żywa, jasna, przenikająca wszystko; żadna ważniejsza kwestya astronomiczna nie była mu obca; w każdej umysł jego wywieszony i wyższy, umiał odkryć najpraktyczniejszą i najlepszą stronę. Strata więc jest wielką dla nauki i dla obserwatorium rzymskiego, którego Ojciec Secchi był jakby prawdziwym twórcą. Nieboszczyk był niezmiernie skromny i cichy; pracował dużo, a niewiele z prac swoich udzielał publiczności; zapewne więc, że w papierach po nim pozostałych znajdzie się niemało ciekawych i ważnych rzeczy — kwestya tylko: czy wszystko ogłoszonym zostanie?

Zaprowadziliśmy też do grobu w wielkiej asystencyi, nietylko pierwszych znakomości naukowych, ale i wszelkich klas mieszkańców Paryża, jednego z najznakomitszych profesorów szkoły medycznej i jednego z najdzielniejszych pracowników na jej obszernem polu. *Bluszcza* zdał już sprawę dokładną z naukowych prac Klaudyusza Bernarda; ja chciałbym tylko dorzucić tu słów kilka o tem, jak ten człowiek, który doszedł swą własną pracą i wytrwaniem do najwyższych naukowych godności w swojej ojczyźnie, któremu Izby zawotowały jednogłośnie koszta narodowego pogrzebu, który, zapytany przez cesarza Napoleona, podziwiającego jego geniusz: co by mógł dlań uczynić? odpowiedział, że dla siebie nic innego nie żąda, oprócz pomocnika do laboratorium — chciałbym powiedzieć: jak ten człowiek, wyszedłszy z maluczkiej rodzinnej miejsciny, szukał swej drogi wśród niepewnych i zmatwanych manowców świata, staczając długą i bez wytchnienia walkę o byt, to jest, o pierwszą potrzeby życia...

Sam on opowiadał nieraz, śmiejąc się wesoło, jak po ukończeniu pierwszych elementarnych nauk wszedł jako podręczny subjekt do jakiejś apteki na przedmieściu Lyonu. Przyszły akademik, członek wszystkich uczonych towarzystw świata, zaczął więc od płukania buteleczek, czyszczenia moździerzki i noży w jakiejś zakątnej aptece z przedmieścia. Szczęście to może właśnie, iż ta apteka była tak zakątną, tak podrzędną, bo młody Bernard, znudzony i zrażony zarazem, opuścił wkrótce tę dyabelską kuchnię i pociągnął do Paryża lepszej szukać doli.

Oto co go zraziło najbardziej. Apteka owa z przedmieścia miała specjalność przyrządzania *specificum probatum*, wielkiej niegdys używanego sławy, a dziś zapomnianego; zwało się ono: *Teryaka*. Pod pozorem, że ten *opiat* wstawiony miał być wynalezionym przez Mitrydata i że się składał z niezmiernie liczby różnych ingrediencyj, pryncypał młodego subjekta mieszał doń najrozmaitsze i najdziwniejsze rzeczy. Opiat ten przygotowywał się raz tylko do roku — ale zato wciągu jedenastu miesięcy, skoro jakaś dziwna, nieopisana i nieznaną ingrediencya wpadła w ręce niedoświadczonego Bernarda, — „Zanieś to pod strych — mówił mu surowo pryncypał — w Grudniu zrobimy z tego *Theryakę*.“

Ten sposób przygotowywania lekarstw i prowadzenia apteki zraził pojętą umysł Bernarda i przywiódł go do pożegnania Teriaki i przedmiejskiego aptekarza w Lugdunie. Z pustą prawie kieszenią, w której największym skarbem była tragedia *Karol VI*, napisana wierszem w sąsiedztwie Teryaki i z listem, polecającym autora profesorowi wówczas literatury w Paryżu panu Saint-Marc-Girardinowi, młodziutki Bernard jednego pięknego poranku znalazł się, goły jak palec, na bruku paryżkim.

Tragedya, na szczęście, jak owa apteka w Lyonie, nie warta była złamanego szelaga. St.-Marc-Girardin powiedział to otwarcie i szczerze Bernardowi, i radził mu wziąć się do rzeczy pewniejszej, lepszej, która, — tak się zdarzyło, — była prawdziwą drogą dla przyszłego geniuszu. Aby dojść do celu wziął się Bernard do medycyny.

Jakie ta nauka otwarła mu pole, jakich prac uczonych dokonał niezrównany w swej specjalności fizyolog, *Bluszcza* już to przedemną powiedział. Słowa jego miały europejską powagę, prace były nieporównanej ważności. We względzie medycyny experimentalnej, Klaudyusz Bernard nie znajdzie równego sobie następcy na osierociątej katedrze w Paryżu.

Chciałbym wyjść z tej nieskończonej listy nekrologów i nie mogę. Rok 1878 jakby zawarł odrębny pakt ze śmiercią; każdy prawie swój dzień czarnym oznacza krzyżem. Ledwie zdołam zamknąć otwarty nawias, aż tu nowa ofiara wzywa me pióro ku nowej mogile. W tych dniach zmarł w Paryżu *Daubigny*, jeden ze znakomitszych pejzażyistów francuskiej szkoły. Odznaczył się on szczególnie jako jeden z najbieglejszych i najoryginalniejszych akwaforzystów. Jako sztycharz przyczynił się czynnie i umiejętnie do postępu, jaki ta odrodzona sztuka uczyniła w ostatnim lat dziesiątku we Francji. Muzeum Luxemburskie posiada kolekcję trzynastu tablic, wykonanych przez Karola Franciszka *Daubigny*ego, które w swoim rodzaju są prawdziwymi arcydziełami. Pracował on ciągle prawie i zasilal swym ryłcem rozmaite publikacye illustrowane, a pomiędzy innemi *Artysta* najlepsze jego zamieszczał sztychy. Z pomiędzy obrazów, rozmiarem i pięknoscią pojęcia i wykonania, *Staw w Gyllen* najpierwsze zajmuje miejsce. Urodzony w r. 1817, miał *Daubigny* dopiero lat 60 i mógł obiecywać sobie i sztuce dłuższą a pożyteczną przyszłość.

(Dokończenie nastąpi)

## RUCH MUZYCZNY.

Koncert T. Zarzyckiego. — P. Jakowiecka. — Panna Chiomi. — Grützmacher. — Rosenthal.

Ostatni tydzień, w którym seryą koncertów karnewalowych zamknęły występy publiczne wielkiego wioloncellisty Grützmachera i *małego* fortepianisty Rosenthala, obudził z letargu drzemającego już oddawna w bezczynności sprawozdawcę *Bluszcza*, i... straszne przebudzenie! okazał mu w tyle po za nim, w zamierzłej, iż tak rzekę, przeszłości, całą seryą koncertów i koncertów, wielkim głosem wołających o pomstę i pioruny z nieba za tak długie o nich przemilczenie. Ha, cóż robić! „lepiej późno niż nigdy“; a że „są chwile w życiu człowieka...“ jak mówi nieporównany autor *Ramot* i *Ramotek*, przeto i szanowni czytelnicy i nadobne czytelniczki zrozumieją, że właśnie jedna z takich chwil była nadeszła, w której bądź wrodzone leniwo, bądź inne ważniejsze sprawy wpłynęły na ten zastój w kronice muzycznej...

Otóż, w liczbie wspomnianych koncertów i wogóle muzykalnych wspomnień, są i takie, którymby się chętnie było poświęciło nierównie większą przestrzeń miejsca, gdyby się było pisało na razie, pod wrażeniem palcem czasu niestartem — a dziś groźna *Nemezys* „czasu“ skapo nam wydzielonego, zmusza do stęszczenia się często zbytniego. Do takich należał właśnie koncert pana Alexandra Zarzyckiego, znakomitego fortepianisty, który już od lat kilku nie dawał się słyszeć publicznie. Do wielkiego mechanizmu, jaki już dawniej posiadał pan Zarzycki, przybywa dziś nierównie większy niżeli dawniej zasób duchowego poglądu... a raczej, niesłusznie mówimy, że przybywa, ale faktem jest, że artysta więcej *pozwała* dziś się objawiać swemu duchowi niż dawniej, lubo i dziś żałować przychodzi, że w tej mierze nie przekracza granic zbytniej powściągliwości. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że ktokolwiek-by się był znajdował tylko na pierwszej części wspomnianego koncertu, byłby odniósł wrażenie niezupełne, t. j. nie dające mu pełnej estetycznej przyjemności. P. Zarzycki potrzebuje się rozegrać; to też dopiero przy wykonaniu pięknych czterech etud (Szopena, Henselta, Liszta i Rubinsteina) gra artysty przedstawiła nam się w całym blasku; zarówno palce jak i myśl się rozhulały, i otrzymaliśmy produkcję



wysoce artystyczną, zupełnie pierwszorzędnej natury. Siła, zapał, wdzięk i poezya zlały się tu w jedną porywającą całość; rytm, poprzednio mdły lub niejasny wyłonił się z dokładnością nieporównaną; passażowanie, wprzód niewyraźne, stało się przewybornem,—słowem, usłyszeliśmy wielkiego mistrza!... Gdyby artysta dawał się częściej porywać uczuciu, które mu w sercu gości (o czem zresztą i kompozycje jego świadczą), niezawodnie-by takie chwile wielkie przychodziły nań częściej!

W koncercie tym oprócz pp. Trombiniego i Gobelta (którzy artystycznie wykonali z koncertantem *Trio* Schumanna) przyjęła udział pani Julia Uszyńska, amatorka jedna z najlepszych w Warszawie, wkraczająca niejednokrotnie w dziedzinę wyższego artysty. Nadzwyczaj trudne waryacje z „*Diamants de la couronne*“ Aubera, będące kamieniem probierczym wprawy dla koloraturowych śpiewaczek,—odśpiewane były z precyzyą i swobodą, zaś w drobniejszych utworach widniało prawdziwie już artystyczne opanowanie przedmiotu i przejęcie się nim.

Mówiąc o śpiewie, naturalnym porządkiem przechodzimy do pożegnalnego koncertu pani Jakowickiej, którym szanowna artystka wprawiła w zachwyt słuchaczy, lubo przyjemność artystycznego wrażenia, zakłócona była właśnie myślą, że ten koncert jest już występem pożegnalnym.... Szczególnie; przepyszna scena obłąkania z *Hamleta* Thoma'sa, była perłą poranku, tyle było w niej potęgi, czucia i fantazyi. Dla sprawozdawczej ścisłości tylko dodać nam wypada, że artystka dnia tego czuła się niezdrową — myśmy o tem bowiem, słuchając jej śpiewu, wiedzieć nie mogli....

Zastępczynią czasową pani Jakowickiej w występach teatralnych była panna Chiomi, zaangażowana przez dyrekcję na kilka gościnnych występów. Zastępstwo to nie było szczęśliwe, lubo nie można zaprzeczyć, że pod pewnym względem, panna Chiomi z trudnego zadania wywiązywała się dość zaszczytnie i potrafiła przez dwa tygodnie napełniać kasę teatralną. Rozporządzając bardzo szczerpłemi środkami wokalnemi, artystka przez umiejętność onych użycie umiała wywołać nieraz szczęśliwe efekta—pewien wdzięk we frazowaniu (wogóle jednak zanadto rozwleczonem), oraz wyborna gra

dramatyczna przykuwały chwilami *widza*... nie powiem *słuchacza*, bo ten czasami bywał cokolwiek niemile dotknięty niezupełną czystością intonacyi. Skromna rola Marty może najszczęśliwiej wyszła — inne opery, jak: *Faust*, *Lucya*, niewszędzie przedstawiały momenta szczęśliwe. Ostatni występ pożegnalny panny Ch. odbył się w Sali Ratuszowej, na koncercie pana Poortena, którego piękny i znany dobrze Warszawie talent zwalnia nas na dziś od dłuższej recenzyi i pozwala powołać się na własne nasze zdania, już poprzednio wyrażone. Za to o Grützmacherze, znakomitym Dreźnieńskim wiolonczeliście, chętniebyśmy rozpisali się obszerniej, gdyby nam był dał ku temu szersze pole w bardziej urozmaicnym programie. *Jeden* numer, jakkolwiek nim był piękny koncert Raffa, niezupełnie wystarcza na dokładne scharakteryzowanie wirtuoza. Wrażenie ogólne, jakie otrzymaliśmy, da się streścić w następujących kilku danych. Mechanizm przesłicznie wyrobiony, swobodny, nie drapiący, zupełnie skrzypcowy; instrument przesłiczny (zwłaszcza struna C), ton szlachetny, miły—lubo nie namiętny, może nawet nie wielki; śpiew prowadzony słodko i z powagą, bez uniesienia. Kompozycya wiele zajmująca, przystępna, lubo myśl finału niekoniecznie oryginalna i szlachetna. Polonez Szopena odegrany wspólnie z panem Zarzyckim, nie nas nie objaśnił co do innych stron gry koncertanta, równie jak i *Larghetto* Mozarta, nad program wykonane. Nawet powiemy, że pod pewnym względem dwa te utwory podziałały na nas ujemnie, gdyż w obu pozwolił sobie artysta niepotrzebnych dodatków,—szczególniej dość płaska włoska Cadenza dopasowana do *Larghetto* z kwintetu Mozarta, przypominała nam ten obraz nie wiem już którego mistrza holenderskiej szkoły, na którym Ezaw i Jakób witają się ze sobą, ubrani w rajtroki i rajtuzy! Tej profanacyi nie spodziewaliśmy się usłyszeć od artysty przybywającego z Drezna—i śmiem wątpić: azali ona w Niemczech uchodzi?

Lecz pomówmy nareszcie o *małym* Rozentalu. Młody ten, trzynastoletni Lwowianin, jest rzeczywiście dzieckiem cudownem. Mechanizm ma bardzo wielki, szczególnie co się tyczy gry passażowej—*Spinnerlied*, Wagnera-*Liszt*, *Gnomenreigen Liszt*, *Chant Polonais*, *Szopena-Liszt*, *Campa-*

*nella Liszt*, wale Schuberta-*Liszt*, wykonywał nam z precyzyą i wprawą zdumiewającą i z tą cudowną *odwagą*, jaką tylko miewają dzieci, coto się rzucają na trudności, niepatrząc na nie, na oślepi, a zawsze zwycięzko wychodzi. Co więcej, oprócz tych błyskotliwych Lisztowskich rzeczy, grał nam z werwą i poezyą *Walca Szopena* i wogóle w całym traktowaniu owych nawet sztuk rozwinął tyle samodzielnego ducha, że możnaby najświetniejszą wróżbę rokować mu na przyszłość, gdyby nie pewne wątpliwości, które sam charakter wystąpienia młodzieńczego artysty, w niejednym źródle musiał. Młodzieniec ten jest pono uczniem konserwatorium Lwowskiego, czy też Josephiego, oraz stypendystą galicyjskiego sejmu. Jeśli tak jest, powinienby jechać gdzieś dla kształcenia się dalej, dla oddania się kompozycyi, dla wzmocnienia swego talentu. — Tymczasem jego pobyt w Warszawie, a pono i dalsze zamiary, jakoś inaczej się dziś przedstawiały. Porywany z wieczoru na wieczór, zmęczony, wysilony, koncertuje on już na prawdę, jak skończony mistrz, i jak słychać, na koncertach w kraju poprzestawać nie myśli. — Toby go mogło zgubić. Jeśli to dziecko-artysta chce wyrosnąć na artystę-olbrzymia, chętnie przykłaśniemy samym tylko jego *przymiotom*; lecz jeśli zechce—a raczej będzie zmuszony—ciągnąć już dziś procent od swego kapitału, musimy przypomnieć, że w grze tej są z konieczności i wielkie wady, których zaniedbanie może być zgubnem. Ręka może wskutek młodego wieku nie trzyma się spokojnie — a więc zapewne się cokolwiek wysila; tempa są za prędkie, charakter utworów za gorączkowy, kierunek talentu zanadto błyskotliwy, że tak powiem... estradowy; zaklinać więc należy osoby interesujące się jego losem, aby starały się program przyszłości młodzieńca zmienić; dać mu naprzód ballast duchowy i fizyczny, a potem wypuścić go na świat—olbrzymem—inaczej może się zmarnować, i z cudownego dziecka zostać artystą-karłem!

Jan Kleczyński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

## PO CENIE ZNIZONEJ.

W księgarni nakładowej Michała Glücksberga przy ulicy Nowy-Świat Nr 55, oraz we wszystkich Księgarniach tak w Warszawie jak i na prowincyi do nabycia:

### HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

przez

**Leona Rogalskiego**

w dwóch dużych tomach w 8-ce

(Tom pierwszy zawiera stronnic 596; — tom drugi zawiera stronnic 814)

cena pierwotna zniżona

**z rs. 6 na rs. 2 kop 50.**

Dzieło to obejmuje: *Dzieje literatury polskiej od jej zawiązku po koniec 1870 roku*. Wiadomości bibliograficzne o wyszłych dziełach są bardzo skrzętnie zebrane i podają wiele szczegółów w innych dziełach tego rodzaju pominiętych.

We Lwowie u *Gubrynowicza* i *Schmidta*.—W Krakowie u *D. E. Friedleina*.—W Poznaniu u *Leitgebera*, oraz w innych znaczniejszych księgarniach.

Listy z prowincyi uprasza się adresować do Wydawcy „Bluszczu“.

### CZŁOWIEK ŚMIECHU

Powieść

**WIKTORA HUGO**

przełożona z francuzkiego przez

**Felicjana Faleńskiego**

w 4-ch tomach

**zniżona w cenie z rs. 3 na rs. 1 k. 50.**

**TREŚĆ.** Leon XIII, (Życiorys), przez Maryę Ilnicką. — Pogawędka. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (z Ameryki), przez Henryka Kałusowskiego. — Nowiny paryżkie. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Февраля 1878 года.